

Mały pisarczyk z Małoszyc (2)

Ze Stanisławem Stanikiem rozmawia Izabela Zubko

Parę dni po moim pobycie w duszpa-sterstwie przyszedłem na zaproszenie Oddziału Warszawskiego ZLP w Domu Literatury w Warszawie. Przewodniczył mu Bohdan Urbankowski, który przewo-dził przez ostatnie cztery lata oddziałowi związku, mając przed sobą tak doskonale usytuowanych luminarzy literatury, jak Piotr Kuncewicz (prezes ZLP, znakomity krytyk, mason), Krzysztof Gąsiorowski, wieloletni przewodniczący tego oddziału, Romuald Karaś, który z reportażysty prze-formował się w organizatora literatury i współpracownika telewizji, czy Andrzej Tchórzewski, poeta z pogranicza kultury znawca wielu języków, później, po latach, bardziej znany jako mąż Aldony Borowicz, która została jak Gąsiorowski czy Urban-kowski szefową Oddziału Warszawskiego ZLP, trzeba powiedzieć oddziału najlicz-niejszego w kraju i mającego najszerze wpływy na bieżące życie literackie. Ale w tym miejscu chciałbym powrócić myślą do głównego bohatera moich rozważań, Bohdana Urbankowskiego.

Nosił się po patriarszemu, acz jak mi mówił, wywodzi się ze szczególnego szczepu innowierców, Żydów z Kołomy. Wysoki, barczysty, spracowany (co odda-wała jego twarz) doskonale nadawał się na pikadora polskiej literatury. Abstrahując od przewodniczenia oddziałowi, czym narobił sobie wrogów, sławę zdobył jako krytyk tekstów stalinowskich, które budzi-ły już zgrozę w książce pt. „Czerwona wina”. Widziałem go w telewizji, jak pre-zentował tę książkę. Potem – co jakiś czas – spotykałem go i poza Domem Literatury, choć tutaj zetknąłem się z nim w bibliotece związkowej, a także na zajęciach Koła Młodych przy ZLP, prowadzonego wespół z Martą Berowską. Powracam do spotkań z poetą poza Domem Literatury, bo i takie miały miejsce. Brałem udział w spotkaniach autorów z młodzieżą w ramach Wiosny Poetów w Serocku. Kogo w tej grupie literatów nie było? Był Drozdowski, Jur-kowski, Karaś, Zaniewski, byłem ja i był Urbankowski. Nie wiedzieć czemu zebra-łem najmocniejsze oklaski od uczniów, natomiast dowiedziałem się, że postawa antykomunistyczna Urbankowskiego była wrodzona. Nie zamienił ani słowa z An-drzejem Zaniewskim, uznawanym za agenta, który zresztą przyznał się do swej brudnej roboty z „bezpieką”, więcej – odszedł od niego, a potem odwoził mnie od utrzymywania z nim bliskich stosun-ków. Nie posłuchałem Urbankowskiego, bo jakoś tak życie mi się ułożyło, że co krok stawał na mojej drodze Andrzej. Za

jakiś niedługi czas jednak poszedłem specjalnie na spotkanie autorskie Bohdana Urbankowskiego na Uniwersytecie War-szawskim. Tematem popołudnia był Zbi-gniew Herbert, o którym założyciel nowe-go romantyzmu napisał książkę. Ciekaw byłem jego wykładu, bo Herbert budził we mnie, jak i u innych czytelników, duże zainteresowanie. Zawiodłem się nieco: poeta mało mówił, postanowił odpowia-dać na pytania, ale i na pytania udzielał odpowiedzi bez polotu, bez zagłębiania się w temat. Żeby dowiedzieć się, czy zgłębił należycie wiedzę o przedmiocie badań, zapytałem, czy wie, że Herbert był chory, a jeśli wie, to czy mógłby odpowiedzieć mi, na co był chory. Nie wiedział. Po latach sięgnąłem do tej jego książki i odkryłem, że została napisana ze znawstwem, z wy-czuciem i z miłością do autora. Bardzo potrzeba takich książek. W szeregu podobnych książek znajduje się monografia Bohdana Urbankowskiego o Józefie Pił-sudskim. Znów napisał pracę popularną, a pogłębioną. Postać Piłsudskiego należała do szeregu postaci romantycznych, stawia-jących na walkę o wolność ojczyzny, nie-okiełzanych, buntowniczych. Upodobał ją sobie Urbankowski, bo i sam w duchu był romantykiem. Dziwne to wydawało się w czasach realnego socjalizmu, kiedy królo-wał konkret, fakt, przyziemność. A poeta przecież jakby się z tym nie licząc, stwo-rzył ruch nowego romantyzmu, całkiem nieprzystający do istniejącej rzeczywisto-ści. Dobre czasy nastąpiły po przełomie roku 1989; wtedy Urbankowski przypo-mniał wszystkim, że ma rogatą duszę. Na nieszcześnie złożyła go niemoc, bo przez telefon dowiedziałem się, że jest chory na serce. Tym samym zniknął z pola mojego widzenia. Wiem, że współpracował z „Gazetą Polską” (wziął jeden mój tekst do druku na łamach tego pisma), ale w Domu Literatury przestał się pojawiać zupełnie. Ustał mój kontakt z nim, co widzę nie-szczególnie, bo dotąd dostarczał mi swoje wiersze do druku w „Myśli Polskiej”, a nawet do tego pisma udzielał mi wywiadu, a drugiego – przeze mnie pokierowanej – Janinie Wielogórskiej. Tak przeminęła epoka moich kontaktów z Bohdanem Urbankowskim, poetą, teoretykiem litera-tury, krytykiem, dramaturgiem (był kie-rownikiem literackim teatru w Płocku), eseistą.

Jakiś czas potem, po spotkaniach z Wojciechem Żukowskim, w wolnej chwili poszedłem na Międzynarodowe Targi książki do Pałacu Kultury i Nauki. Wybra-łem się tam z Iwoną Janicką, która impo-

nowała mi urodą, i to w małej tajemnicy przed jej mężem (odebrał ją po spotkaniu). Pochodziliśmy razem po parterze targo-wym, popatrując na stoiska oblegane tłumnie przez czytelników. Przy jednym ze stoisk siedział na krzeselku niepozorny, niski, ogrzały mężczyzna, który stał się naraz celem naszej wędrówki. Był nim Tadeusz Różewicz. Przed nim wila się długa kolejka jego zwolenników z książ-kami do podpisywania przez niego. Kiedy nadeszła pora na mnie, to znaczy, gdy znalazłem się przed poetą, zagadałem do niego, kając się, że nie jestem z SPP tylko ze ZLP. Na to pan Tadeusz odrzekł, że to nie ma znaczenia, popytał mnie o moją twórczość i złożył na swoim tomiku wiersz własnoręczny autograf. Długo to nie trwało. Różewicz nie wywarł na mnie wielkiego wrażenia, zresztą zawsze roz-czarowywałem się, gdy przychodziło do spotkania z jakąś wielkością w cztery oczy. W każdym razie pamiętałem go najbar-dziej z jednego jego wiersza o zaginionej, który w całości brzmi jak komunikat, nadawany choćby przez radio („wyszła z domu i dotychczas nie wróciła” itd.). Róż-nica między użytkowością tekstu o zagi-nionej a utworem o tym samym brzmieniu polegała jedynie na przykładanie do niego jako punktu odniesienia funkcji autotelicz-nej. Ta funkcja polegała na artyzmie tek-stu, na przykładanie do niego miary dzieła sztuki, na samą siebie. Oczywiście znana była mi „Kartoteka” pisarza. Słyszałem o sztuce jego „Akt przerywany”, „Stara ko-bieta wysiaduje”, opowiadania, wiele wierszy, które krytykowano za prostotę, a które stały się wzorem dla poetów mojego pokolenia, pokolenia nowej fali. O poecie jako o człowieku mało słyszałem, dopiero po latach patrzyłem na jego pogrzeb, gdy był chowany jako innowierca w Wiśle. Wiedząc o Różewiczu jedno, a stając przed wiedzą o czym innym z późniejszego jego życia i kresu maszerowałem z książką podpisaną przez Różewicza pod pachą, obok Janickiej od stoiska do stoiska. Spotkaliśmy Mieczkowskiego ze „Znad Wili” (redaktor naczelny), poetę bodaj Stefana Jurkowskiego, a na koniec Tomasza Ja-struna. Ten ostatni wdał się w pogawędkę z Janicką i widziałem, że był nią urzeczony.

Tak to było w Pałacu Kultury jednego roku, ale w roku później zaszedłem też tu na targi, pragnąc poznać Sławomira Mroż-ka. Zobaczyłem go z daleka, wśród tłumu z kolejką ludzi wijącą się przed nim jak za mięsem. Podpisywał swoje książki powoli,

(Dokończenie na stronie 4)